

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży

Adres Redakcji Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 71, tel. 240-15.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie: rocz. rb. 4, półrocz. rb. 2, kw. rb. 1. mies. 35 k z dodat. rocz. 6.40, półrocz. 3.20, kw. 1.60 mies. 60k. Za odnie dopłaca się 10 kop. kwartalnie. Z przesyłką pocztową w granicach państwa: rocz. rb. 5, półrocz. rb. 2 k. 50, kwart. rb. 1 kop. 25. mies. 45 k.

Z dodat. rocz. 7.40, półrocz. 3.70, kwart. 1.80.
Za granicą: w Austrii 14 kor., z dodat. 21 kor.
rocz. W Niemczech 12 m. z dodat. 19 m. łęcz.

WARUNKI OGŁOSZEŃ:

2 i 3 strona wiersz 1 szp. k. 20
w tekście nadesłane " " " 50

Prenumeratę najlepiej nadsyłać pocztą wprost do Administracji Krakowskie-Przedmieście 71 w Warszawie księgar-
nia „Polaka - Katolika“.

Można jeszcze opłacać „Wieczory Rodzinne“ za kwartał I II i III.

TREŚĆ NUMERU:

Ingres Arcypasterza (z 1 ilustr.). — Zarysy cywilizacji starożytnych narodów, przez I. Krzymuskiego. — Spełnione życzenia, przez Marję Poraską. — Nigdy, przez Z. Morawską. — Nad złotym rogim, przez Stanisława Bełzę. — Legenda. — Tajemniczy samolot, przez Kap. Brereton. — Deszcz pada, przez M. Poraską. — Przebojem, przez Józefa Ciembroniewicza. — Skrzynka do listów. — DODATEK DLA DZIECI: Podanie o świętym cieniu. — Ukaraný olbrzym, przez Wład. sława Bełzę. — Zapach, śpiew, kiejnot.



ZDANIE BEZSTRONNE.

Z powodu niemieckich uroczystości w Poznaniu, w których wzięło udział kilkanaście rodzin czysto polskiego pochodzenia, ku słusznemu oburzeniu całego społeczeństwa, jeden z dzienników berlińskich umieścił artykuł p. t. „Warto ten naród pozyskać“. Autorem jego jest znany polityk i literat p. Gerlach. Przytoczymy tu ważniejsze ustępy z tej bezstronnej oceny.

„Z wielką przyjemnością ujrzał cesarz pewną ilość polskich arystokratów przy swym stole biesiadnym, uważając to za hołd dobrowolny a należny, ale nie wiedział prawdopodobnie, że ciemne, niczem nie przybrane, tętnące chłodem domy polskich robotników, rzemieślników, kupców Poznania protestowały w milczeniu a imponująco przeciw tym jaskrawym zebraniom, że prasa polska jednomyślnie je potępiała; gdyż było to jawne urągowski zgnębionemu narodowi. Masy ludu polskiego nie cenią sobie słów, choćby pojedynczych, ale czekają na czyny, a przeciw jedna ustawa wyjątkowa po drugiej siecze różgami miliony pruskich obywateli państwa dlatego, iż trzymają się silnie swej ojczystej mowy. Tylko natury niewolnicze calują rękę, która je chłoszcze; mężowie odważni na ucisk odpowiadają oporem. A że naród polski nie cierpi jak pies, lecz walczy mężnie, jest to dowodem, iż warto ten naród pozyskać. Ludu takiego nie pozyska się ani za pomocą uczt dworskich, ani mów przy każdej okoliczności, lecz jedynie przez użycie sprawiedliwego prawa!“

KATASTROFA.

W ubiegłym tygodniu niemiecki aerostat woj-skowy, zbudowany w warsztatach Zeppelin pod nazwą „L 1“, zatonął w pobliżu wyspy Helgoland. Szczegóły tego strasznego wypadku teraz dopiero nadeszły. Należąc do składu armji, wyruszającej na wojnę, balony podobnego typu muszą, tak jak pulki, odbywać manewry, t. j. utrzymywać się przez pewien czas w powietrzu na wysokości 1,300—1,500 metrów pod ogniem dział okrętowych. Owego dnia, z powodu zimna i silnej wichury, kapitan dowodzący krążownikiem powietrznym, Haune, postanowił opuścić go na morze wieczorem, ale balon utraciwszy już 2,400 m. gazu a nadto obciążony kilkudziesięciu osobami, zaczął nagle spadać z szybkością 30 m. na sekundę i wreszcie uderzył o powierzchnię fal morskich. Łodzie przygniecione metalowym szkieletem i powłoką balonu, która nasycała się wodą stopniowo, zniknęły w niej błyskawicznie: sternicy i monterzy zdążyli skoczyć do morza, załoga jednak zginęła wskutek uduszenia. Aerostat nie wytrzymał naporu balwanów, pękł na dwoje i pograżył się zwolna zostawiwszy tylko szlak świetlisty po za sobą. Między tymi co śmierć ponieśli, znajdował się jeden polak, podoficer marynarki. O rozmiarach kolosu dadzą wyobrażenie następujące cyfry: „L 1“ posiadał 160 m. długości a 15 średnicy, pojemność 22,000 m. sześciennych: dwa motory o sile 170 koni, co pozwalało mu rozwinać szybkość 85 kilom. na godzinę. Nie wiedzie się Zeppelinowi!

Inżynier artylerji, amerykańnin, James Wood, zbudował i przedstawił wojskowym władzom w Nowym Orleanie działło armatnie, które obywa się bez prochu, a daje 1,000 strzałów na minutę. Z uwagi iż proch jest materiałem przestarzałym, p. Wood zupełnie go usunął przy budowie swojej armaty, jakoteż wszelkie czynniki wybuchowe, ponieważ nie pozwalają one doprowadzić sprawności działa do najwyższego stopnia. Świadcowie czynionych prób, tak je opisują: Działło składa się przede wszystkim z masywnego, płaskiego kręgu, wagi około 250 kilogramów, a na jego powierzchni, w kierunku promieni koła, osadzone są rury czyli lufy. W tych lufach mieszczą się pociski, których zawartość i sposób umocowania stanowią tajemnicę wynalazcy. Silna dynamo maszyna wprowadza krąg w ruch nadzwyczajnie szybki, dochodzący do 4,000 obrotów na minutę. Przez naciśnięcie guziczka elektrycznego pociski pozbywają się wstrzymującego je hamulca, a przyrząd centryfugalny wyrzuca je z szybkością 700 metrów na sekundę. Owa nowej konstrukcji armata ma jeszcze dotąd jedną wielką wadę — nie można z niej, tak jak z dawniejszych, strzelać do celu; wedle zapewnień p. Wooda jednakże, te przeszkody z czasem ustąpią, a w takim razie artylerzyści posiadają środek obrony lub zaczepki, na wojnie nie do zwalczania.



Rozmaitości.

Wynalazek.

Smutnem byłoby przeświadczenie, że dzisiejsza pomysłowość człowieka zmierza tylko do tworzenia przyrządów śmiertcionośnych, albo groźących każdochwilowem niebezpieczeństwem, na szczęście mamy równoczesne objawy twórczej pracy w naukowym, istotnie pożytecznym kierunku. Oto świeżo w dziedzinie techniki wynaleziono sposób nowy pokrywania metalami przedmiotów wszelkiego rodzaju za pomocą rozpylacza, nazwanego „pistoletem strzykawką“. Do niedawna stosowano go tylko w specjalnej fabryce w Szwajcjarji, ale dzięki udoskonaleniu przyrządu przez inżyniera Schoop, nawet małe warsztaty będą mogły nim się posługiwać. Zasada rozpylacza polega na tem, że gdy jedną rurką napływa roztapiany metal, drugą, która jest położoną w stosunku do pierwszej pod kątem prostym, przedostaje się strumień jakiegoś nieutleniającego gazu. Tym sposobem z rozpylacza wytryska strumień najsubtelniejszego pyłu metalowego, o ogromnie wysokiej temperaturze z jednej strony, gdy tymczasem z drugiej można opylać ręką np. bez żadnego bólu, pokrywając ją szczelną warstwą dowolnego metalu. „Pistolet strzykawka“ różni się tem od dawnego, że niekoniecznie potrzeba wprowadzać doń metal roztopiony, płynny, tylko poprostu w formie drutu z dwiema rurkami, przez które napływają dwa gazy: wodór i tlen; przy zetknięciu zapalają się natychmiast, a wzniecony ztąd, silny płomień roztapia koniec drutu, wychodzącego z pierwszej rurki, z drugiej zaś prąd ścięsnionego powietrza rozpyla metal jak parę. Aby jakiś przedmiot był pokryty metalem, należało go przedtem pogrzać w roztopionym kruszcu, albo płynie do galwanoplastyki, obecnie ta trudność nie istnieje. Dałoby się

naprzykład ocynkować żelazny dach, znajdujący się już na domu, nawet ozdobić bronzem tak wysoki pomnik, jak wieża Eifel w Paryżu. Wynalazek Schoopa będzie miał doniosłe znaczenie dla wyrobów plastycznych, z drzewa. klisz do druku, i t. d. Zamiast lakierem, lub farbą olejną, można powlec meble dowolną warstwą metalu, co im nada niesłychaną trwałość, i zastosować ten środek do delikatnej, artystycznej rzeźby drzewnej. Jednem słowem, bardzo wiele gałęzi wytwórczości ludzkiej odniesie nieobliczoną korzyść z pracy genialnego technika.

Wysokie uposażenie.

Podczas wspaniałej uroczystości mianowania miasta Delhi na nową stolicę Indji, urządono zamach na wicekróla, lorda Hardinga, przez rzucenie bomby w środek orszaku wstępującego w bramę triumfalną. Namiestnik angielski, jadąc w towarzystwie żony i różnych dostojników miejscowych, został ciężko ranionym, ale nie postradał życia, dzięki przytomności umysłu słonia, na którym swój wjazd odbywał. To rozumne, olbrzymiego wzrostu zwierzę nie przeląsknęło się wybuchu z całym spokojem szło na czele pochodu, co powstrzymało popłoch zgromadzonego tłumu; nie zauważono, że adjutant, tuż za wicekrólem, spadł z konia, a palankin lorda Hardinga był w strzępy poszarpany. Po przyjeździe do zdrowia wicekról wraz z rodziną dla okazania wdzięczności polecił otoczyć słonia szczególną opieką i staraniami, a nadto władze rządowe wyznaczyły mu dożywotnią pensję w kwocie 2,500 franków rocznie, i stałą obsługę z dwóch kulisów (indyjscy robotnicy). Wiadomo, że słonie mogą żyć do lat stu, a ponieważ ten właśnie miał za ledwie rok 30, łatwo obliczymy, jakie koszta pociągnie za sobą to obdarowanie, nieświadomego swoich zasług, a niemniej poczciwego olbrzyma.

Słynny obraz sprzedany za 1 frank.

Żona pewnego robotnika paryskiego z powodu wielkiej nędzy sprzedała w pewnym antykwariacie za 1 frank obraz, będący od wielu lat w posiadaniu jej rodziny. Niedługo potem, przechodząc obok antykwariatu, ujrzała w oknie wystawowym swój obraz z dopiskiem „prawdziwy Goya“ (sławny malarz hiszpański) i cenę 7000 franków. Kobieta wywołała wielki skandal i żądała zwrócenia jej obrazu, naturalnie bezskutecznie. Dzienniki wzywają rząd do zakupu obrazu dla muzeum narodowego, dla biednej robotnicy zaś zbierają składki od abonentów.

Prahistoryczne zwierzęta domowe.

„Vierteljahrschrift für die Kulturgeschichte zu Zürich“ podaje ciekawy artykuł o prahistorycznych zwierzętach domowych. Materiał dla badań na Krete dały wykopaliska, znalezione przez dyrektora muzeum kanadyjskiego prof. Hazidakia. Jak się okazuje, w epoce starokamiennej najpopularniejszym zwierzęciem domowym była... zwykła świnia. Koń ukazuje się znacznie później, bo już w czasie rozkwitu kreteńskiej kultury bronzowej. Przytem jest to koń pochodzenia małoazjatyckiego — rasy turkiestańskiej. W epoce tej hodowla świń staje się coraz bardziej intensywną i pasterz trzody zyskuje (jak to zresztą widzimy u Homera) stanowisko powiernika gospodarza domu. W końcu epoki wśród zwierząt domowych ukazuje się pies, następnie owca. Znacznie później widzimy w gospodarstwach ówczesnych osła, gołębia i pszczołę.

Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

Ingres Arcypasterza.

W ubiegłą niedzielę, d. 14 września odbył się Ingres nowego Arcypasterza.

Wszystko sprzyjało uroczystości. Pogoda, tak w tym roku upragniona, zwiększała nastrój radosny.

Arcypasterz mając z lewej strony J. E. Biskupa Ruskiewicza, szedł pod baldachimem, poprzedzany licznym orszakem duchowieństwa, bractw, cechów, przedstawicieli rozmaitych instytucji.

Wspaniały pochód przybył na czas do kościoła katedralnego przy głosie dzwonów kościelnych całej Warszawy i śpiewie „Kto się w opiekę poda Panu swemu“.

Po wejściu do prastarej świątyni zaintonowano „Te Deum laudamus“ — a Arcypasterz przyjął klucze od katedry i pokropił wodą święconą wiernych.

Po adoracji Najświętszego Sakramentu Arcypasterz zasiadł na tronie, a J. E. ks. Biskup Ruskiewicz powitał Najdostojniejszego Pasterza przemową, poczem Duchowieństwo złożyło hołd przynależny, chór zaś odśpiewał pieśń „Ecce Sacerdos“.

Następnie ks. Kanonik Z. Chełmicki odczytał z ambony bullę Ojca św. po łacinie i po polsku.

Najdostojniejszy Arcypasterz wygłosił potem przemowę do Duchowieństwa.

J. E. Ks. Arcypasterz odprawił Mszę św. pontyfikalną, w czasie której po „Credo“ wygłosił z ambony kazanie do wiernych.

Po Sumie odczytany został reskrypt papieski o udzieleniu odpustów, poczem Jego Excelencja udzielił zebrany błogosławieństwa Arcypasterskiego.

Po skończonej uroczystości duchowieństwo odprowadziło Jego Excelencję do drzwi katedralnych, skąd Arcypasterz odjechał do pałacu.

Tłumy zebrane na ulicy żegnały odjeżdżającego okrzykami, rzucając kwiaty do powozu.

Uroczystość cała nosiła wysoce podniosły charakter, a licznie zgromadzona ludność złożyła dowód wierności dla św. Wiary katolickiej.

Po odbytem nabożeństwie Kapituła Warszawska wydała obiad w Seminarjum tylko dla duchowieństwa warszawskiego oraz przybyłych gości z innych Kapituł.

Na obiedzie przemawiali J. E. Biskup Ruskiewicz, sam Arcypasterz i ks. Prałat Lasocki z Płocka.

Po obiedzie Arcypasterz odwiedził zakłady dobroczynne, przyjął u siebie wieczorem jeszcze raz całe duchowieństwo, pragnąc z każdym osobiście chociaż kilka słów zamienić.

W poniedziałek rano J. E. Arcypasterz odprawił Mszę św. w Seminarjum, którem dawniej jako regens, kierował, a które i teraz pragnie swoją pieczołowitością otoczyć.



J. E. Arcybiskup-Metropolita, jako Rektor Akademii Duchownej w Petersburgu.

Zarysy cywilizacji starożytnych narodów.

c. d.

Dzieje Chin sięgają bardzo odległych czasów i giną w mrokach przeszłości. Historia wspomina o cesarzu Li, który panował na 2000 lat przed Narodzeniem Chrystusa, i od tej pory dziejopisowie chińscy opisują dość szczegółowo losy swego kraju.

Na 550 lat przed Chrystusem urodził się w Chinach znakomity mędrzec Kong-fu-tse, którego nazwisko przekręcono na Konfucjusza. Ojciec jego odumarał wcześniej, lecz owdowiała matka, jakkolwiek uboga, dała mu jaknajstaranniejsze wychowanie. Zdolny, pracowity, stateczny, już w 17 roku życia był urzędnikiem, a w 21 zajmował stanowisko naczelnego inspektora trzód królewskich.

Państwo chińskie przechodziło wówczas ciężkie koleje; na cesarskim dworze rozprężenie, lud tonął w nędzy i ciemnocie.

Z ciężką boleścią patrzył na te stosunki Konfucjusz; znał dobrze położenie swego narodu, znał prawodawstwo, obowiązujące w kraju i widział, że wszystko zło pochodzi z braku poszanowania prawa, z zaniedbania ustaw, przez dawnych cesarzów wydanych. Porzucił więc urząd, chodził po kraju, nauczał ludność dawnych praw, nakłaniał do życia cnotliwego. Jakkolwiek ostre słowa prawdy przyczyniały mu wielu wrogów, tak że przed ich prześladowaniem musiał uchodzić z kraju, posiadał również i wielu zwolenników, którzy go uwielbiali i przejęci byli głęboko jego zasadami.

Mówił on o sobie:

„To czego was nauczam, nie jest niczem nowem, tylko tem, co nasi przodkowie wyznawali i nam przekazali; niczego nie dodałem i nie ująłem, podaję naukę ojców naszych w jej pierwotnej czystości, nie zmienioną, jasną jak niebo. Jestem jako rolnik, który zasiewa w ziemię ziarno, otrzymane po przodkach w spuściznie.

Nauki Konfucjusza znalazły tylu wyznawców, że stały się religią, którą dziś wyznają miliony chińczyków, zarówno cesarz, jak urzędnicy i uczeni. Nauka ta jest tak chłodna, sucha i tak pozbawiona wszelkich uniesień serca, jak żadna inna w starożytnym świecie.

Oprócz Konfucjusza posiadają chińczycy innego jeszcze twórcę religii; jest nim Lao-tse, urodzony w roku 604 przed Chrystusem. Ponieważ zajmował się pisaniem dziejów ojczystych, odwiedził go Konfucjusz, aby dowiedzieć się od niego niektórych szczegółów o pismach dawnych prawodawców; przy tej sposobności rozmawiali o sprawach religijnych, lecz trudno im było się porozumieć.

Konfucjusz chłodny, praktyczny, biegunowo różnił się w poglądach od marzycielskiego filozofa. Rozmowa ich spisana w księgach, znajduje się w największym poszanowaniu u chińczyków i stanowi ciekawą rozprawę ścierających się dwóch odrębnych poglądów.

Lao-tse, równie jak Konfucjusz, znalazł wielu wyznawców, którzy naukę jego nazywali religią prawej

drogi, samego zaś czcili jak bóstwo. Na prośby uczniów dał się nakłonić do ułożenia swej nauki, zwanej taoizmem, w księgę, która nosi nazwę *Tao-te-king*, czyli księga o drodze do cnoty.

Prócz tych dwóch religijnych kierunków przeniknął do Chin z Indji Wschodnich i szybko się rozpowszechnił buddaizm, to jest religja, ustanowiona przez Buddę, nakazująca wiarę w przechodzenie dusz po śmierci w ciała zwierząt, a nawet w rośliny. Wszystkie te wierzenia tak się pomieszały wśród wielomiljonowego narodu chińskiego, że wytworzyły chaos w pojęciach religijnych. Zresztą religja ma tam dość podrzędne znaczenie, gdyż chińczycy są narodem, niezdolnym do porywów i uniesień; nie wytwarzają sobie oni żadnych idealnych potrzeb, nie sięgają myślą do nieba, zapatrzeni w ziemię tu jedynie szczęścia szukają i znaleźć je pragną.

Poziome i zimne usposobienie chińczyków odbiło się też na ich literaturze, gdzie fantazji niema prawie zupełnie, a treść obraca się w ciasnym kole codziennego życia. Jedynie interesującymi są przysłowia, które tu, jak wszędzie, są mądrością narodów; uczą one przezorności, głosząc: w czasie pogody, noś deszczochron, a studnię kop, zanim będziesz miał pragnienie; uczą systematyczności słowami „dzień jeden wart jest trzy dla tego, kto każdą rzecz zrobi w swoim czasie“.

d. c. n.

I. Krzymowski.



W górach.

MARJA PORASKA.

(Alita).

Spełnione życzenia

Obrazek sceniczny w 1-ym akcie. c. d.

KASIA (*sprząta ze stołu*)

Kochane dzieci!

BASIA (*przy oknie*)

Co też gwiazd na niebie!
Skrzą się, jak wielkie błyszczące djamenty,
(*Jędrus zaczyna nagle głośno płakać*)

KASIA

Co tobie Jędrusiu?

JĘDRUŚ.

Kozik mi się złamał,
Czem wózki skończę?

BASIA (*załamując ręce*)

O, Boże mój święty!
Nasza ostatnia nadzieja stracona!

KASIA (*po chwili namysłu*)

Nie rozpaczajcie, pożyczę wrzeczona
I na zarobek prząść będę len złoty!
(*nadstuchuje*)

Ojciec nadchodzi...

DRWAL (*wchodząc*)

Skończona już praca
No! jak się macie kochane sieroty? (*wita dzieci*)

KASIA

Bałam się nieco, że tatko nie wraca,
Późno już przecie i na sen już pora.

DRWAL (*siada na ławce*)

W lesie rąbałem drzewo do wieczora
A nim gajowy z wypłatą się zjawił,
Już się las cały w sinym mroku pławił.
(*wyjmując pieniądze*)

Macie pięć złotych; dziś mi wytrącili
Za jakąś kradzież, co się zdarzyć miała
Wczorajszej nocy — podobno chodzili
Złodzieje jacyś; dwa sągi bez mała
Skradziono drzewa, ale Bóg mi świadkiem,
Żem o zdarzeniu owem nic nie wiedział;
Wszystko się stało przedziwnym wypadkiem,
Bo sam gajowy, co w pobliżu siedział,
Nie słyszał szmeru, ani głosów ludzi...
Człowiek co tydzień napróżno się ludzi,
Że grosz przyniesie; strącają codziennie,
A praca ciężka i twarda niezmiennie,
Już rąk nie czuję, na nogi upadam,
A tą siekierą ledwo nieraz władam,

Bo ni ochoty ni siły nie staje,
Kiedy ta orka czarny chleb nam daje.
(*wzdycha ciężko*)

Jedliście dzisiaj?

KASIA

Jedliśmy, wieszczę
Mieliliśmy zwykłą — ale głodu niema...

DRWAL (*twardo*)

Głód zajrzeć może zanim przyjdzie zima,
On się biednymi opiekuje szczerze.
Dzisiaj noc całą stać będę na straży
W nowej porębie — tak kazał gajowy,
Mówił, że mi się za pomoc odśłużę...
Ha! zobaczymy; chyba kary nowej
Za cudze winy na mnie nie nałoży.
Czas mi iść dzieci — więc opiece Bożej,
Was tu polecam i bywajcie zdrowi,
Świtaniem wrócę (*żegna się i wychodzi*)

BASIA

Nie można tatkowi
Ulżyć ni pomódz...

KASIA

Niechaj mu podporą
Będzie ta miłość, co mamy dla niego,
A gdy nas kiedyś dni czarne odbiegą
I odśłużymy mu się pracą własną.
O! wtedy w duszy jego będzie jasno
I szczęściem będzie rozpromienion cały,
Że na wiek stary, dzieci byt mu dały.

JĘDRUŚ (*trze dłońmi oczy*)

Późno już chyba, bo się oczy kleją...

KASIA

Północ już blisko (*słychać pianie koguta*)

BASIA

We wsi kury pieją.

KASIA

Kładźcie się dzieci, zbudzę was o świcie,
Może szczęśliwie malin się uzbiera
A kiedy z miasta z pieniędzmi wrócicie,
Przyrządę obiad dla ojca.

JĘDRUŚ

Aż zbierą,
Mam chętkę wielką na kluski i mleko.

KASIA (*uśmiechając się*)

Do tej potrawy nie tak znów daleko,
Aby mieć mąkę — to przysmak gotowy;
Mąkę nam chętnie odstąpi gajowy,
Ale nim jutro zabłyśnie — to szczerze
Przed snem odmówmy wieczorne pacierze

d. c. n.

Wojska pruskie, rosyjskie, austriackie i szwedzkie zacieśniały coraz więcej najeżony działami i bagnetami pierścien.

Ces. Aleksander I i Fryderyk Wilhelm ks. pruski ze wzgórz przypatrywali się przygotowaniom, a potem walce.

— Ks. Poniatowski bronić będzie wejścia od strony wsi Doelitz! — wysłał rozkaz Napoleon.

Ces. Aleksander dojrawszy Poniatowskiego szykującego swoje szeregi, skinął na jednego ze swoich adjutantów, nakreślił coś własnoręcznie na wyjętej z przybocznej teki ćwiartce papieru i wskazał w stronę naszego wodza, dodając:

— Natychmiast!

Adjutant skłonił się i poszedł spełnić rozkaz.

Jakim sposobem przedarł się do ks. Józefa, trudno powiedzieć.

Dość, że przed rozpoczęciem bitwy ks. Józef otrzymał nakreśloną kartkę,

Rzucił na nią oczyma, i zawołał:

— Nigdy! *)

I dalej dawał rozkazy, nie troszcząc się o przybyłego.

Główne dowództwo objął Napoleon.

Zdawało się, że bóg wojny wstąpił w niego znów z całą potęgą.

Rozkazy z ust jego padały z tak szybką stanowczością, były tak śmiałe, iż zdawało się, że są wprost nie do wykonania.

A jednak!...

Duch, który ożywił w tej chwili Napoleona udzielił się wojsku.

W rytm przygrywającej muzyki, leciały kule, waliły działa, mieszając się z odgłosem trąb i bębnow.

Ziemia drżała. I nie można było chwilowo rozeznąć czy to huk dział, czy bęben się odzywa, czy wrzaskliwa trąba do ataku woła.

Walka d. 16 października trwała od świtu do nocy.

Zdawało się, że świat się wali.

Że ludzie nie są ludźmi lecz tytanicznymi istotami z jakąś siłą nadprzyrodzoną.

Ks. Józef wśród dymu, huku dział, wśród iskier wyrzucanych gęsto z armatnich paszczek, wyglądał jak zjawisko wysłane na świat ten z podniesionym mieczem.

Kula przeszła mu mięśnie lewego ramienia, koń padł pod nim.

Nie wiedzieć skąd, jakim sposobem, znalazł się Dominik, podał mu innego.

Poniatowski nie wiedział może, kto mu tę przysługę uczynił.

Domek przysługę tę okupił życiem.

Kula trafiła nieszczęśliwego chłopca.

Padł u nóg swego opiekuna, którego miłował i starał się być mu użytecznym.

Lecz ks. Józef nie miał czasu spojrzeć nawet w tę stronę.

Tylu obok niego ginęło...



Pomnik Jana Sobieskiego w Padwie.

*) Historyczne.

Dosiadł też szybko konia.

Nie zważał na dolegającą mu ranę, na pot zalewający mu oczy, dowodził.

Dawał rozkazy, które spełniano z nadzwyczajną dokładnością i poświęceniem.

Zwycięstwo przechylało się na naszą stronę.

Cesarz Aleksander, który nie odejmując lunety od oczu spoglądał na walczących z obranego stanowiska, szepnął:

— Z takim wodzem mógłbym świat zwojować. *)

I począł niecierpliwie wyczekiwać gońca, chociaż prawie był pewny, że nie otrzyma pożądaney odpowiedzi.

Pod wieczór zwycięstwo przechyliło się stanowczo na stronę Napoleona.

— Zawdzięczamy je Poniatowskiemu! — zawołał do swego otoczenia rozpromieniony, obchodząc pobojowisko pod wsią Doeelitz i Wachau.

*) Dosłowne.



Pomnik Stefana Batorego w Padwie.

— Musimy go nagrodzić.

I na świstku papieru nakreślił:

— Ks. Józefa Poniatowskiego za jego nadzwyczajne zasługi i męstwo mianujemy marszałkiem Francji!

— Odnieść to w tej chwili do obozu ks. Poniatowskiego! — rozkazał.

Lekarz przyboczny opatrywał mu właśnie ranę na ramieniu i kilka lżejszych zadraśnień, których na razie wódz nasz nie czuł nawet.

Gdy mu oddano z właściwemi honorami kartkę Napoleona mianującą go marszałkiem Francji rzekł:

— Nie dla sławy lecz dla wybawienia mojej ojczyzny walczyłem i walczyć będę! *)

I niezwłocznie zapytał lekarza.

— A nasi ranni?

— Opatrują ich w doraźnym ambulatorjum — odpowiedział tenże.

— Ale waszej księżęcej mości należy się konieczny, niezwłoczny wypoczynek.

Nie miał go jednak.

Ciągle ktoś wchodził pytając o dalsze rozkazy.

Wtem odgłos rozkołysanych dzwonów doszedł jego uszu.

— Co to? — zapytał.

— Najjaśniejszy Napoleon kazał w Lipsku uderzyć w dzwony na znak zwycięstwa! — odpowiedział ktoś ze świadomych rzeczy.

Ks. Józef westchnął i szepnął w sobie.

— Czy nie zawcześnie?!

A dzwony grały.

Napoleon tak był pewny wygranej, że niezwłocznie pchnął gońca do Paryża, donosząc o rezultacie bitwy żonie swej Marji Ludwice, rejentce podczas jego nieobecności.

— Dnia 16 października odnieśliśmy znaczne zwycięstwo, zawdzięczamy je ks. Józefowi Poniatowskiemu i Muratowi, ks. Neapolitańskiemu. Meerfeld dowódca austriacki dostał się do niewoli.

Działa umilkły.

Zrobiła się cisza.

Cisza jak przed wielką burzą.

d. n.

*) Dosłowne.

STANISŁAW BEŁZA

NAD ŻŁOTYM ROGIEM

X.

Hodża ugotował gęś i poniósł ją w ofierze sułtanowi Timurowi. W drodze zachciało mu się jeść, i zjadł jedną jej nogę.

Timur, otrzymawszy dar, zawołał zdziwiony.

— Gdzie się podziała druga noga u gęsi?

W moim kraju — odpowiedział Hodża — gęsi mają jedną nogę. Jeśli nie wierzysz, patrz w stronę tej tam fontanny.

Istotnie przy fontannie gęsi stały na jednej nodze.

Wtedy Timur zawołał żołnierzy i kazał im bić pałkami w bębny.

Przestraszone gęsi pospuszczały nogi ukryte w pie rzach.

— Patrz teraz -- zawołał Timur — oto gęsi mają po dwie nogi.

— Gdybym zaczął bić takimi pałkami — odpowiedział Hodża — ty sam ze strachu znalazłbyś się na czterech.

XI.

Hodża w nocy słyszy głośny spór dwóch ludzi przed sienią.

— Wstawaj — woła do żony — zapal świecę i zobacz o co im chodzi.

Żona wstać z łóżka nie chce, wtedy on okręca się kołdrą i wychodzi. Nieznajomi spostrzegłszy go, ściągają z niego kołdrę i uciekają z całych sił. Po chwili powraca.

— O co im chodziło? — pyta żona.

— Spierali się o kołdrę, ale jak ją z pleców moich zdarli, przestali się o nią kłócić.

XII.

Hodża miał ucznia murzyna. Pewnego razu wyłał on na swojego nauczyciela atrament.

— Co się stało? — zawołali jego przyjaciele.

— Nic — odrzekł Hodża — mój czarny uczeń spóźnił się na lekcję, więc biegł prędko, i pot z jego głowy kapnął mi na czoło.

XIII.

Ktoś przyjechał z wizytą na noc do Hodży. Zgaślił świecę i zabierał się do spoczynku. Za chwilę jednak zawołał:

— Hodžo, podaj mi świecę, stoi po prawej twojej ręce.

— Czyś ty oszalał? — zawołał Hodża — ciemno jest w pokoju, czy podobna więc widzieć, która jest prawa ręka, a która lewa.

XIV.

Żona Hodży chciała raz jednego zażartować ze swojego męża. Ugotowała zupę i postawiła ją wrzącą na stole. Po pierwszej łyżce zaczęła nagle płakać.

— Czego płaczesz? — zapytał Hadża. — Czy się oparzyłaś zupą?

— Nie — odrzekła — ale przyszło mi na myśl, że mój zmarły ojciec lubił bardzo taką zupę i to wspomnienie łyż mi wycisnęło.

Hodża zabrał się do zupy, sparzył się i z kolei płakać też zaczął. Zapytany przez żonę o powód odpowiedział:

— Płaczę nie dlatego, żebym się miał sparzyć ale z żalu, że twoja przekłeta matka, umierając, nie zabrała cię z sobą z tego świata.

Ten czcigodny Hodża był figlarzem nielada, żartował bowiem ze wszystkiego i ze wszystkich. Przedmiotem zatem jego figlików są tak dobrze: lud, jak panujący, dzieci i żaczki szkolne, jak jego własna żona, i byle się mógł sam uśmieć i drugich rozśmieszyć, nie dba o to, z kim będzie miał do czynienia.

Co na placu, to nieprzyjacieli, a gdy niema pod ręką ludzi myślących i czujących, to się zwraca do osłów i wołów.

To też nic dziwnego, że śmieją się w Stambule z niego wszyscy, mężczyźni po kawiarniach, po haremach kobiety, i że ten jego zdrowy humor, nawet przystrojony w europejskie szaty, zajmuje i bawi. Zanim więc rozstaniemy się z nim, by powędrować dalej, zakończmy to nasze o nim wspomnienie jeszcze dwoma jego żartami. Czytelnik polski nie postawi nam złej noty za tę naszą w tym względzie małowówność, żarty bowiem jego, które obieżyły zachodnią Europę, jak wiele niestety! zajmujących w piśmiennictwach obcych rzeczy, są nam niemal zupełnie nieznanymi. Niechajże więc chociażby przy takiej sposobności, staną się naszą umysłową własnością.

Oto jedna z tych anegdot:

Pewnego dnia Hodża poszedł po wodę do studni i zobaczył w niej odbicie księżycy. Mniemając, że takowy wpadł do wody, postanowił go z niej wyciągnąć. Bierze więc sznur zakończony haczykiem i wrzuca go do studni. Haczyk zaczepia się o kamień, Hodża sznur ciągnie, ten się zrywa i Hodża wpada do wody. Znalazłszy się w studni, podnosi głowę do góry i spostrzega księżyc na swoim miejscu.

— Bogu niech będzie chwała! — woła w uniesieniu — ja się zmoczyłem, ale wyciągnąłem do góry księżyc.

A teraz następna i już ostatnia:

Hodża, spoczywający w swoim mieszkaniu, słyszy kołatanie do drzwi.

— Kto tam? — pyta zniecierpliwiony.

— Zejdz na dół natychmiast — wołał żebrak.

Hodża schodzi i zapytuje go czego pragnie.

— Proszę o jałmużnę — odpowiada żebrak.

— Chodź ze mną na górę — mówi Hodża, a gdy żebrak wszedł z nim na schody:

— Niech cię Bóg pocieszy — odzywa się do niego z powagą.

— Dlaczegoż panie — pyta żebrak — nie powiedziałeś mi tego na dole, i nie oszczędziłeś mi trudu chodzenia po schodach?

— A dlaczego ty — odpowiada Hodża — sprowadziłeś mnie z góry na dół, żeby mi powiedzieć, iż prosisz o jałmużnę.

* * *

Balata i Fanar są to dwa przedmieścia Stambułu, nie mające ze Stambułem nic wspólnego, zamieszkują je bowiem ludzie obcy miastu Padyszachów i uważający wzajemnie to miasto dla siebie za obce.

W pierwszym rezydują żydzi, w drugim grecy.

Kiedy zstąpiwszy z Aiwan Seraju, ostatniego ogniwą w łańcuchu Murów, wejdiesz lub wjedziesz na koniu w labirynt krzywych uliczek, ciągnących się wzdłuż wybrzeża Złotego Rogu, ujrzysz odrazu, że jesteś jak gdyby w innym świecie.

Brud tu taki sam, jak w Ejubie, kałuże błota dotykają tak samo do progów nędznych nad wyraz domostw, ale domostwa te wyróżniają się raz powierzchownością swoją od starotureckich, podpieranych charakterystycznymi palami, o maleńkich okienkach, i w przeważnej ilości zasłoniętych siatkami z drzewa, by promień słońca, lub oko ciekawego nie przedostały się po za nie, a powtóre i tem także, że dają dach ludziom odmiennej wiary, a zarazem i charakteru.

Ludzie ci, przybyli tu przed wiekami z dalekiego Zachodu, znalazłszy gościnność, osiedli zbitą masą, i przyjąwszy strój od nowych swoich panów, zresztą do dziś wyróżniają się od nich wszystkim.

Tak jest, wszystkim: religią, obyczajami i językiem, i pomimo, że Hiszpanja złowróźnie zaznaczyła się w ich życiu, dotąd porozumiewają się między sobą językiem hiszpańskim, podobni w tem do naszych ciemnych mas żydowskich, które znalazłszy gościnność w Polsce nie zarzuciły przecież w kolei długich wieków języka niemieckich swoich prześladowców!...

Ilu mieszka żydów w Balacie? Kto to wie, kto to kiedy zliczy. Statystyka turecka z 1885 roku wykazuje ich tylko 44 tysiące. Ale ktoby tej statystyce wierzył.

Już któryś angiłk powiedział, że „żydowska kołyska nigdy nie jest pustą“ (*a jewish cradle is never empty*), w samej zaś Balacie dostrzegam tyle kobiet, że domyślałam się po nich kołyski mnóstwa, a przecież żydzi w Konstantynopolu nietylko zamieszkują jedną Balatę. Widzi ich się w Perze, widzi nad brzegiem Bosforu i w To-phane, więc znając ich niechęć do ujawniania swojej liczby, śmiało po-

wiedzieć można, że znajduje się ich w tem mieście przeszło sto tysięcy.

A teraz, jaka jest ich tam dziś zamożność? I na pytanie to odpowiedzieć trudno. Sądząc po Balacie, są to sami nędzarze. Domy biedne i odrapane, dzieci bose i półnagie, zaniedbanie na każdym niemal kroku. Ale to podobno tylko pozory, i jeśli wierzyć opowieściom osób znających dobrze stosunki tej dzielnicy, w niejednym tam, rozwalającym się domu, gnieźdzą się krezusi, których brzęk złota rozlega się w bardzo wspaniałych progach.

Ta Balata ociera się o Fanar, ale nie jest podobną do Fanaru. O, nie. Mieszkańcy pierwszej mają wygląd nędznych niewolników, mieszkańcy drugiego, prawdziwych panów. I istotnie, dawni to panowie tego miasta, tych mórz, tego świata: Grecy; panowie, którzy wtedy nawet, gdy nimi Turcy zawładnęli, potrafili rozumem swoim i przebiegłością imponować podwładnym Turcji słowiańskim narodom, którzy dziś jeszcze noszą po ulicach Konstantynopola hardo głowy.

I nie wiem, jak tam jest teraz po wojnie, która wykazała słabość ich rodaków, ale kiedy znajdowałem się w Konstantynopolu (a była to chwila rozruchów na Krecie), zdawało mi się, gdym spoglądał na nich, że oni nie tylko w tym Fanarze, ale i bezporównania dalej rej wodzą.

Miasteczko (bo Fanar zasługuje na to miano) jest najporządniejszym nad temi wodami.

Ciasno i tu jest wszędzie, bo powietrzną nie jest nawet „Wielka ulica Pery“, ale domy wyróżniają się od innych. Piętrowe, murowane, otoczone ładnymi ogródkami, mówią o schludności i gospodarności tych, którzy w nich zamieszkują, a ubiór kobiet o zalotności i zamiłowaniu ich w zbytkach.

d. c. n.



Koszenie siana.

Legenda.

c. d.

I nikt więcej mnie nie widzi...
 Tum, w dziedzictwie mem, sierota,
 Nikt tu z moich łez nie szydzi,
 Nikt nie wygna mnie za wrota...

Jakieś cienie tajemnicze
 Wysuwają się z ukrycia:
 O! poznaję ich oblicze,
 Jakbym widział je za życia!

Widzę was, tu, w tej świątnicy,
 Zygmuntowie wielcy nasi!
 Miecz połyska wam w prawicy,
 Wawrzyn czoła wasze krasi...

Widzę was, o cne postacię!
 Mądrość bije wam od czoła,
 Słodycz dziecka w oczach macie,
 A miecz w dłoni — archanioła.

Wasze prochy tu dostojne
 W tej świątnicy odpoczęły...
 Widzę was, o duchy zbrojne,
 Batorego i Jagiełły...

Widzę wielkość mej Ojczyzny,
 Co pod pieczę waszą rosła,
 A dziś stoi wśród mielizny,
 Jak samotna łódź bez wiosła...

Nad nią burza ryczy dzika,
 Fala nawę w przepaść chłonie,
 Znikąd gwiazdy ni sternika,
 Coby wiodły ją przez tonie...

Czemuście mi poznać dali
 Wielkość naszą w tej zamroczy?
 Wstyd mi czoło moje pali,
 Nie śmiem stanąć wam przed oczy...

Cóż ja biedny, cóż wam rzeknę,
 Gdy staniecie groźni, niemi?...
 Chyba do was się ucieknę,
 O! anioły naszej ziemi!

Chyba pójdę, skąd nad groby
 Blask mi żywszy światła miga;
 Tam mej troski i żałoby
 Ulituje się Jadwiga...

Pójdę bólem rozszalały
 Do stóp świętej tej postaci,
 I zapytam drżący cały:
 „Matko! — kto mi łzy zapłaci?”

O! strażnico dziejów Polska,
 Echem tylu wspomnień drżąca!
 Tyś jak harfa jest eolska,
 W którą palec Boży trąca.

Dziwne skarby i wspomnienia
 Przechowujesz w swoim łonie,
 Dziwny z ciebie w pokolenia
 I tajemny urok wionie.

Kto raz wstąpi w twoje progi,
 Kto odetchnie twem powietrzem,
 Temu mniej już ucisk srogi,
 Samo jarzmo zda się letszem.

Bo z twych murów — wieków chwała
 Zda się budzić duch zwycięski:
 „Patrzcie — stoję jakem stała,
 „Mimo tylu burz i klęski!”

O! świątynio ty żałobna,
 O! przybytku śmierci chmurny
 Jakżeś dziwnie jest podobna
 Do olbrzymiej dziejów urny!

Jak ławnica starodawna,
 Patrzysz z grobów w mrok daleki;
 O! świątynio tyle sławna,
 Pozdrowiona bądź na wieki!

Dziejów naszych księga złota,
 Wielka w tobie moc zamknięta.
 Na dnie twoim leży cnota,
 Niby perła utajona!

Snopy blasków i promieni
 Rozsypujesz dziejom na tło,
 Nie znasz mroków, ani cieni,
 Samo w sobie skupiasz światło.

Tyś jak jutrznia jest różowa,
 Co wesela blaskiem płonie...
 I niedarmo „Gwiazd Królowa“
 Królowała w tej koronie.

I niedarmo, Polsko miła,
 Sztandar wiary niosłaś górą:
 Boś ty jedna godną była,
 Bożej Matki znać się córą.

Już u dziejów swych kolebki
 Poszłaś w niebo orlim lotem!
 Już żył w tobie ten duch krzepki,
 Co jak olbrzym stanął potem...

Już twa słodycz i gościnność
 W siwym Piaście się skupiła;
 Już ofiary cnej powinność
 Z Wandą w cichy grób zstąpiła.

Dotąd duch ten czuwa stary,
 Na mogile twych pamiątek,
 Duch miłości i ofiary,
 Co dał dziejom twym początek!

d. n.

KAP. BRERETON.

Tajemniczy samolot

Przeł. z ang.
M. G.

24)

— Czas ich powitać — mruknął Harvey, przykładając strzelbę do oka. — Strzelaj pierwszy, Ted!

Paf! Ted posłał garść śrótu w sam nos nadbiegającemu. Zatrzymali się i zaczęli naradzać, a mały człowiek, który biegł na przedzie, wywijając szablą, zachęcał ich widocznie.

— Jeżeli ruszą z miejsca, pošlę im drugi nabój — oznajmił Ted. — I wpakuję go cały w tego malca, co ich prowadzi.

Napastnicy ruszyli znowu, lecz z mniejszym już rozmachem, ochłodzeni w zapale strzałem Teda.

Biegli, nie zważając, że powiewał on chustką, a jednocześnie jeźdźcy, dawszy koniom ostrogę, puścili się cwałem w tę stronę, gdzie stali chłopcy z Terencjuszem.

— Posłuchajcie rady człowieka, który już bywał w ogniu! — zawołał Terencjusz. — Nie zaczepiajcie teraz konnicy, a dopiero kiedy będzie blisko, pošlijcie cały nabój prosto w zęby konia, to napewno pozbędą się jeźdźców. Teraz ja się załatwię z dowodcą piechoty.

Przyłożył karabin do twarzy. Celował chwilę zanim rozległ się strzał.

Człowiek z wielką szablą podniósł obie ręce do góry, ubiegł jeszcze kilka kroków, zachwiał się, zatonął i padł na ziemię. Ale ten widok zamiast zniechęcić jego towarzyszków, natchnął ich nowym zapalem kilku z nich miało broń palną. Ci odwiedli kurki i wypuścili kilkanaście kul, które gwizdnęły mimo uszu naszej gromadki. A potem piechota zwartą masą rzuciła się ku chłopcom, gdy z przeciwnej strony, z głośnym tętentem, kopyt końskich, pędzili cwałem jeźdźcy.

Położenie chłopców było fatalne. Nie mogli liczyć na niczyją pomoc, tylko na własne siły. „Upiór“ leżał na polach Mongolji bezwładny, jak mewa z połamaniami przez burzę skrzydłami.

— Poczęstuję ich z obu łuf — powiedział spokojnie Ted. — Ty Harvey, strzelaj do jeźdźców. To im dobrze zrobi.

— A ja zatrzymam naboje do ostatniej chwili — wtrącił z niezachwianą zimną krwią Terencjusz. Brudasy! Inny ich teraz prowadzi... Świerzbi go widać skóra... Poczekaj kochanku! Pogłaszczę ja cię zaraz!

Uśmiechnął się szeroko i wziął na cel drągala, który szedł na czele napastników. Terencjusz nie marnował nabołów.

Wielki wrzask odpowiedział na jego strzał; przywódzca bandy wypalił z ogromnego pistoletu, który trzymał w ręku, podskoczył w górę z przeraźliwym krzykiem i — padł na ziemię, a na jego ciało, potknąwszy się, upadło kilku biegnących za nim.

Terencjusz wymierzył znowu, mrużąc:

— Teraz poczęstuję tego łotra z długimi włosami...

Nie spieszył się wcale. Wziął na cel spokojnie, karabin zagrzecotał i człowiek z długimi włosami runął, jak piorunem rażony. Ale jego towarzysze pędzili całą chmarą, choć już w mniej porządnym, szyku. Można było widzieć ich twarze, ziejące wściekłością, ich oczy płonące i ręce potrząsające bronią.

Jedni mieli olbrzymiej długości szable, inni wielkie noże, a kilku pistolety, z których strzelali bez przerwy. Jeden zaś małego wzrostu, trzymał w jednej ręce szablę, niewiele mniejszą od siebie, w drugiej potężny pugnał. Ten szedł teraz na czele, prowadząc towarzyszków do ataku.

— Gotów? — zagadnął Ted trochę stłumionym głosem.

— Do usług — odpowiedział Harvey, niez mieszanym napozór.

— Teraz ja strzelam, a ty po mnie pošlij drugi nabój jeźdźcowi.

Huknął strzał i cały ładunek śrótu, zasypał twarze biegnących, którzy byli o sto kroków zaledwie. W takiej odległości śrócinę rozleciały się na wszystkie strony, raniąc, lecz nie zabijając. W każdym razie, niemiła ta niespodzianka, osadziła napastników na miejscu.

Idący na czele stanęli, a towarzysze ich zbili się w gromadę.

Harvey dał wtedy ognia, celując starannie; po nim trzasnął karabin Terencjusza, który odwróciwszy się, zobaczył nadjeżdżających cwałem, przyklęknął więc na jedno kolano i strzelił, nie celując długo. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, zerwał się potem i pobiegł ku pędzącym.

Jeździec na czele, odziany w jakąś dziwną zbroję, po strzale Terencjusza zakołysał się na siodle i zsunął, uderzając ciężko głową o ziemię. Ale nogi jego zostały w strzemionach, a spłoszony koń popędził jak oszalały, robiąc rozpaczliwe wysiłki, by się oswobodzić od ciężaru bezwładnego jeźdźcy.

Gdy mu się to udało, i zabity pozostał na ziemi, koń, ubiegłszy jeszcze kilkanaście kroków, stanął, obejrzał się wokoło i najspokojniej zaczął szczypać trawę. Ale na jego towarzyszków strzał Harveya wywarł zupełnie inny skutek. Doprowadził wszystkie trzy konie do szału. Jeden od razu zrzucił jeźdźca i odbiegłszy na bok, przyglądał się swemu działu ze zdumieniem; dwa pozostałe wzięły na kiel i biegały w kółko, unosząc jeźdźców, czyniących rozpaczliwe wysiłki by utrzymać się na siodłach. Terencjusz w mgnieniu oka zrozumiał, jaką korzyść można z tego wyciągnąć.

— Ten jeden dla mnie! — wykrzyknął, biegnąc do zabitego, którego szablę podniósł z ziemi. A tamten drugi, bez jeźdźcy, dla was dwóch... Chodź no tu mój mileńki!

Podsunał się z rozpromienioną twarzą ku osłupiałemu koniowi i pochwycił go z nienacka za cugle, trzy-



Terencjusz przyłożył karabin do twarży.

mając obie szable podjęte z ziemi a znów w chwilę potem, miał już w rękę i cugle drugiego wierzchowca. Konie dały się ująć bez oporu... W parę sekund Terencjusz powrócił do chłopców, wyszczerzając białe zęby w szerokim uśmiechu.

— Umiecie jeździć konno? — zagadnął. — Tu idzie o życie... Lepiej żeby za chwilę nas tu nie było...

Ale świetny jego pomysł mogli zniweczyć nadbiegający pieszo ludzie. Nie odstraszył ich grad śrócin sypniętych im w oczy z dwóch dubeltówek; zatrzymali się tylko w odległości stu kroków, ocierając krew z twarzy, a po krótkiej naradzie, rzucili się znowu naprzód, z dzikim wrzaskiem wywijając bronią w powietrzu, biegli już nie zwartą masą, lecz rozsypani zupełnie zrzadka.

— Chcą nas otoczyć! — ostrzegł Ted. — Czas na karabiny. Niech tylko bliżej podejda...

— A jeśli i to ich nie wstrzyma pozostają nam tylko konie — dodał Harvey. — Jeden dla Terencjusza, drugi dla nas...

Ted skinął głową. Ustawił przed sobą nabity karabin, a tymczasem celował ze strzelby. Terencjusz przesunął fajeczkę na drugą stronę ust i odpowiedział krótko:

Gdy wystrzelę to będzie znak, że czas siadać na konie... Patrzcie co za pocziwe zwierzęta. Jedzą sobie trawę spokojnie, jakby nic.

Mimo to położenie naszej trójki, nie było wcale dobre. Mieli wprawdzie dubeltówki i karabiny, które nanowo nabili. Posuwali się teraz rozproszeni, w groźnym milczeniu.

— Czas ich powitać! — wyrzekł Ted, spokojny napozór, zacinając usta. Harvey niech weźmie na cel tych z lewej strony, ja tych pośrodku...

— A ja będę miał na oku konie i tych na prawo... — przerwał Terencjusz.

Zarzucił cugle obu koni na rękę i wycelował. Zaledwie rozległ się strzał jego karabinu, Harvey i Ted dali jednocześnie ognia; po pierwszym strzale padł drugi i trzeci...

Przez trzy minuty trwała nieustająca strzelanina, lecz mimo wszelkich wysiłków, nie powstrzymała nawały napastników; padli jedni od kul Terencjusza i chłopców, lecz na ich miejsce wysuwali się inni, nieustraszeni, groźni, milczący. A gdy już podeszli dostatecznie, na dane hasło krzyknęli wszyscy i huknęły pistoletowe strzały i kule gwizdnęły nad głowami naszej trójki. Odpowiedziały im przyspieszone strzały Terencjusowego karabina, ale siły napastowanych za małe były do oparcia się pędzącym do ataku.

d. c. n.

Deszcz pada.

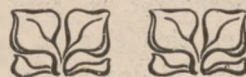
Deszcz pada! Jak to smutno! Niebo łzami płacze,
Potoków gęstych fale płyną z chmur wysokich,
Spadając w polną drogę w kałużach szerokich,
Kędy stąpa wędrowiec, dni wiodąc tułacze.

Z ciężką torbą podróżną, w sandałach na nogach,
Co na stopach zmęczonych ciężą jak kajdany,
Idzie — wiatr włosy targa i drze mu łachmany,
Szalejąc po ścieżynach, po polach i drogach.

Srebrnych nitek jesiennych przejrzysta kaskada,
Z szumem, pluskiem i świstem z błękitów się leje,
I na ziemię napojem upragnionym spada.

Szaro. Oto wokoło dopiero co dnieje,
Nie widać jeszcze nieba za gęstymi mgłami.
Deszcz pada! Jak to smutno. Niebo płacze łzami,

Marja Poraska.



PRZEBOJEM.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

OPOWIEDZIAŁ

JÓZEF CIEMBRONIEWICZ 21)

Baba uderzyła w straszny lament i pobiegła na plebanję.

W jednej prawie chwili wieść o chorobie nauczyciela rozniosła się po całej wsi i gdy ksiądz Jański, drżąc od wzruszenia spieszył do chorego przyjaciela, towarzyszyły mu już tłumy ludzi.

Zdarski był zupełnie przytomny i nie wyglądał nawet na chorego.

Ksiądz przyjaciel ze łzami w oczach opatrzył go świętymi sakramentami, a obowiązek kapłański spełnił, rzekł Zdarski:

— Ano mój drogi przyjacielu! Zawsze gniewałeś się gdy wspominałem o śmierci, teraz już i gniew nie pomoże. Umierać trzeba. Przykro mi, że cię tu samego zostawić muszę, ale trudno, tak sądzono. Jankiem się nie martw. Wierzaj mi, gdy człek tak leży na śmiertelnej pościeli, to czasem więcej widzi niż wtedy gdy mu ziemskie sprawy oczy przysłaniają. Sprawa Janka wejdzie na dobrą drogę, doczekasz się jeszcze z niego pociechy, zobaczysz, że biedota wyjdzie na ludzi!

Wzruszony ksiądz słuchał słów przyjaciela a odniósłszy z powrotem do kościoła oleje św. powrócił jak mógł najprędzej, aby nad chorym czuwać.

Nie spodziewał się jednak wnioskując z wyglądu chorego, że nieubłagana śmierć tak szybko mu przyjaciela zabierze.

A stało się to rzeczywiście nadzwyczaj szybko.

Gdy ksiądz powrócił Zdarski jeszcze z nim rozmawiał przez chwilę, wreszcie znużony przymknął oczy.

Ksiądz był pewny, że chory prześpi się trochę. Rzeczywiście Zdarski usnął, ale usnął na wieki.

Żalu ks. Jańskiego po stracie jedyne go wiernego przyjaciela nikt nie jest w stanie opisać.

Ale nietylko Jański go żałował. I wieść, w której nauczyciel od szeregu lat pracował, pokryła się żałobą i smutkiem i serdecznymi łzami żegnała swego tyloletniego przewodnika.

I spoczął jeden z zasłużonych pracowników, urosła jedna mogiłka więcej na cichym wiejskim cmentarzu, przybyło ks. Jańskiemu smutne miejsce dumań i rozmyślań, kazał sobie bowiem nad mogiłą przyjaciela ustawić ławeczkę i tam w czasie pogody brewiarz odmawiał i godzinami całemi nieraz przesiadywał.

O Janku przez długi czas jeszcze nic słyhać nie było.

Minęło kilka miesięcy, świeża mogiła zaczęła trawą porastać, gdy dopiero nadszedł list od niego.

„Kochani i zacni moi Dobrodzieje!“ — pisał nie wiedząc nic o śmierci Zdarskiego.

„Zawiniłem może bardzo, że przez tak długi czas nie dawałem żadnego znaku życia. Wybaczcie! Gdy źle było, gdy poniewierałem się z miejsca na miejsce nie chciałem Wam nic pisać, bo i po co. Obecnie los mój cokolwiek się ustalił.

Jestem teraz dozorcą w cegielni inżyniera Nałkowskiego. Prawdziwie Bóg mnie tu przyprowadził. Zacząłem w fabryce pracować jako prosty robotnik, ale zwrócił na mnie uwagę sam inżynier i wezwał mnie do siebie. Opowiedziałem mu dokładnie cały przebieg mego życia, nie zataiłem nic i widocznie uwierzył mi, zaraz bowiem posunął mnie na dozorcę, wyznaczając mi 80 k. pensji i pokoik na mieszkanie.

Pensja wystarcza mi zupełnie, zakupiłem sobie z niej nawet książki i uczę się. Może kiedyś kłątwa ciężąca spadnie przeciw ze mnie i będę mógł zasiać do matury.

Nie uwierzycie zacni moi Opiekunowie jak tęsknię za wieściami od was i jak bardzo pragnąłbym ręce wasze ucałować. Niestety dziś jeszcze tego uczynić nie mogę, ale Bóg jest dobry.

Listu czekam niecierpliwie — Czy ojciec mój wie już jakie mną losy miotają?

Całuję Wasze i Panny Marjanny ręce i nogi
oddany

Janek“.

W smutku w jaki Jański po śmierci Zdarskiego popadł list od Janka był mu nie małą pociechą.

Bez zwłoki zasiadł stary do odpowiedzi na otrzymany list, a równocześnie napisał też list i do inżyniera Nałkowskiego, dziękując za dotychczasową i prosząc o dalszą nad Jankiem opiekę.

Inżynier odpisał księdzu bardzo życzliwie, oświadczając, że Janek dał mu się poznać z tak dobrej strony, że nawet bez specjalnego polecenia księdza uważałby za stosowne opiekować się nim. Po liście tym uspokoił się ks. Jański znacznie o los swego ulubieńca.

XIV.

Minęły dwa lata.

Janek pisał często, donosił, że uczy się ciągle, że stosunek jego do inżyniera Nałkowskiego nie zmienił się zupełnie, czasem też i sam inżynier pisywał do starego proboszcza a listy te dla ks. Jańskiego i panny Marjanny były prawdziwym urozmaiceniem życia.

Do szkoły na miejsce zmarłego Zdarskiego przyszedł nowy młody nauczyciel. Ks. Jański przyjął go bardzo życzliwie, że jednak nowy nie mógł mu zastąpić zmarłego przyjaciela to nic dziwnego.

O tem, aby sprawa kradzieży broszki, a tem samem i uniewinnienia Janka wyszła jeszcze na wierzch przestał ksiądz myśleć, a tymczasem uniewinnienie to bliższe było, aniżeli się spodziewał.

Młody Kaznikiewicz rozchorował się ciężko. Nadziei żadnej lekarze nie robili i po odbytem konsylium poradzili ojcu, by wezwał księdza, katastrofy bowiem można się było spodziewać lada chwila.

d. c. n.



Ejże, ej! moje ty *Przyjacielskie Serduszek*, zaczynasz się bawić w komplementy, popsujesz niemi „Przyjaciółkę” i co wtedy będzie? odpowiedzialność spadnie na ciebie, nie lękasz się?...

Co ja myślę o tobie? Ależ bardzo dobrze i serdecznie, bo kto nie dąsa się za krytykę jakiego bądź swego dzieła, znaczy, że posiada rozsądek, że nie ma w sobie fałszywej ambicji i próżności, która, niestety, często paczy charakter, a nawet całe życie człowieka. Posiadasz serce, ponieważ mimo przeciągającej się choroby i przymusowego pobytu na obczyźnie, darzysz serdecznymi uczuciami innych, troszczysz się o nich i nie tracisz dobrego humoru, o czym świadczy dowcipny twój żarcik, który będzie umieszczony w „Wieczorach”

Panienska, z którą radabyś korespondować jest znacznie od ciebie starsza, poważna, więc narazie, nie wiem, czy co z tego będzie.

Żal mi serdecznie Maćka B... i jego biednej matki! W tem tylko pociecha, że przeszedł on do lepszego życia...

Bardzo mocno i czule całuję cię kochana dzieweczko, a ty załącz ode mnie Promieniowi Słońca szczerze pozdrowienie.

Życzeniu twemu *Lilijko Polska* czynię zadość i życzę pomyślnego wyniku korespondencji, zwłaszcza, że wspólne wasze upodobania i zamiary na przyszłość tak są piękne i pożyteczne.

Naturalnie, że nim dorósniesz, warunki mogą się zmienić i nie będzie ci zbyt trudno pragnienia zamienić w czyn, a choćby i nie zmieniły się, przy silnej woli i sercu znajdziesz sposób pokonania trudności i drogą choćby uboczną pracować w tym kierunku. Trzeba tylko wytrwałości i usilnej pracy nad sobą.

Nie jestem upoważniona do wyjawienia szczegółów, dotyczących innych korespondentek, więc na pytanie twe odpowiedzieć nie mogę. Za pamięć o bracišku mym, Tadziu, dziękuję ci, ja i on sam. Jest on już prawie zdrow, ale zmartwiony, gdyż doktorzy nie pozwalają mu jeszcze w tym roku wrócić do szkoły. Halinka za to wesoła, rozśpiewana zasyła Lilijce buziaka.

Wdzięczna ci jestem *Zywio* za obszerny i tak bardzo zajmujący list, karty wszakże, na którą się powołujesz, nie otrzymałam.

Nie masz pojęcia, jak się cieszę rozwojem twego zakładu. Niech cię nie zraża, że ci, dla których on głównie przeznaczony omijają go, a nawet radziby szkodzić tak pożytecznej, tylko niezrozumianej przez nich placówce, gdyż to nie zła wola z ich strony, lecz brak oświaty, ten brak tak dotkliwie na każdym kroku odczuwany.

To też siostrzyczce twjej z całego serca radzę niech zostanie ochroniarką, lub nauczycielką ludową, skoro tak lubi dzieci, a młodzież wiejska za nią przepada i do niej ze wszystkimi kłopotami się zwraca.

Widzisz, *Zywio*, posiada ona już to, co każdy pracownik wśród ludu drogą długoletniej, ofiarnej pracy, dopiero zdobywać musi, posiada ona zaufanie i sympatię miejscowych włościan, na tym więc cennym podkładzie bardzo wiele zdziałać można i pod

żadnym pozorem sposobności tej opuszczać się nie godzi. We dwie łatwiej cel swój osiągniecie i rzucicie snop dobroczynnego światła między biedny nasz lud.

Jakie pisma zaprenumerować dla czytelników ludowej? „Praca Zbożna” „Posiew” „Zorza” bardzo są pożyteczne i z przyjemnością odczytywane. Z działu zaś powieściowego biblioteka winna być zaopatrzona w cykl historycznych dzieł Kraszewskiego, dla młodzieży zaś, także same dzieła Przyborowskiego, Teresy Jadwigi i innych. Z poetów najrozumialszymi dla ludu są: nieśmiertelny wieszcz, Mickiewicz i pełen rzewnej prostoty Lenartowicz.

Z duszy życzę jaknajlepszych rezultatów ideowej twjej pracy i błogosławieństwa Bożego dla niej. Od siebie załączam uścisk siostrzany.

Pocziwie jest twe przywiązanie do zwierząt kochanych *Motyłku*, ależ trudno przecie chować aż czworo szceniąt i to w mieście. Tracenia kociąt i szceniąt nie można nazwać barbarzyństwem, o ile przykry ten akt dokonywa się niezwłocznie po przyjściu ich na świat, gdy są ślepe, niezdające sobie z niczego sprawy, i to w sposób szybki, możliwie bezbolesny. Ale czekać, aż przejrzą i dopiero wtedy je tracić to już jest niegodne okrucieństwo!

Ty nie możesz zrobić dla swych czworonożnych przyjaciół nic lepszego, jak wystarać się, by dostały się one w dobre i pewne ręce, gdzieby ich żadna nie spotkała krzywdą; ale ja, choć wdzięczną ci jestem za dobre chęci i zaufanie przyjąć żadnego z tych piesków nie mogę. Nie miej do mnie żalu, chłopaczku, ale powody, skłaniające mię do odmowy są ważne. Nie wątpię zresztą, że znajdziesz licznych amatorów, u których szceniaczkom będzie dobrze, i kłopoty twe się skończą.

Cieszę się, żeś się tak „ostro” wziął do nauki, ucz się, ucz wytrwale, bo nauka nietylko życie czyni lżejszem, ale czyni nas lepszymi, szlachetniejszymi, co jest jeszcze ważniejsze od pierwszego.

Maryehna pisze: „Tyle mam wolnego czasu, że nieraz nie wiem, co z nim zrobić i nudzę się i z nudów pisuję do „Przyjaciółki”.

Pomijając milczeniem drugą część powyższego zdania zwracam tylko uwagę na ten twój niby nadmiar czasu. Naturalnie, Marychno, wiem, żeś się nie zastanawiała dotąd poważnie nad wielu rzeczami i dlatego, zdaje ci się że czasu masz zawiele, że, „życie jest bezbarwne”.

Zajęta jedynie zewnętrzną stroną swej osoby, zepsuta przez pobłażanie i brak dobrej opieki, prowadzisz życie naprawdę „bezbarwne”, bo nieużyteczne, próżniacze, życie pasożytniczego chwastu, i stąd w tobie ta próżnia, nuda, na którą się skarżysz, stąd te „rozklekotane nerwy”, o których pół listu zapisałaś, a na które żaden doktor, ani zagraniczne Bady nie pomogą, gdyż źródło wszystkiego złego w tobie tkwi w próżniactwie i bezmyślności.

Człowiek stworzony jest do celów szczytnych, osiąga je przez krwawe prace, walki, trudy, przez wielkie ofiary poświęcenia i cierpienia; i tych bohaterskich bojowników życia w imię świętych ideałów ludzkości są całe zastępy! a ty w wykwinnym buduarze nudzisz się...

Zwróć się do krewnej, którą nazywasz „piłą” i „moralizatorką” a która mnie się wydaje być naprawdę życzliwą ci osobą, gdyż radaby kuzynkę lalkę, widzieć człowiekiem. Nie ci są przyjaciółmi, którzy nam pochlebiają, lecz którzy wytykają nam błędy nasze.

Przyjaciółka.

Prywatny zakład dla obłąkanych w pobliżu Paryża zwiedzał niedawno d-r Bronardel, słynny uczo-ny francuski. Kazawszy przedstawić sobie cały szereg pacjentów, profesor odezwał się do dyrektora zakładu:

— Stwierdziłem tu sam kilka bardzo zajmują-nych przykładów. Był tam między innymi mały człowiek, szaro ubrany; swojemi śmiesznemi pyta-niami ubawił mię ogromnie. Czy może mi pan po-wiedzieć jego nazwisko?

— Owszem, jest to Paweł Bourget; zbiera on tu materiały do najnowszej powieści, jaką zamierza napisać.

Po odejściu uczonego zjawia się autor.

— Panie dyrektorze, uszczęśliwiony jestem z dnia dzisiejszego; znalazłem bowiem warjata, któ-ry będzie stanowił doskonały typ, poszukiwany przezemnie do mojego kryminalnego romansu. Jakiś chudy człowieczyzna, w paltocie i cylindrze. Kto to taki?

— To profesor Bronardel, znakomity psycho-log — objaśnił z uśmiechem kierownik schronienia dla umysłowo chorych, któremu po raz pierwszy zdarzyło się usłyszeć taką zabawną pomyłkę mię-dzy ludźmi, uchodzącymi nietylko za normalnych, ale i za świeczniki społeczeństwa francuskiego.

Lód sztuczny.

Na jednej z tegorocznych wystaw w Wiedniu urządzoną została (podczas lata) ślizgawka, na któ-rej zastosowano nowy wynalazek p. Harrisona, sztu-czne tworzenie się lodu. Za pomocą jakiejś cieczy, o nieznanym chemicznym składnikach, rozlanej na pokładzie betonowym, ścina się bardzo szybko jego powierzchnia w gładką, szklistą powłokę, która nie-tylko posiada pozór lodu ale i trwałość odpowiednią dla toru ślizgawkowego. Pierwsze próby dały po-myślnie wyniki, a w dalszym mogą się okazać wiel-ce praktycznymi tego rodzaju ślizgawki, gdyż przed-siębiorcy nie będą już potrzebowali kupować ko-sztownych maszyn, pochłaniających zazwyczaj naj-większe nawet dochody. Przytem zamiłowani ży-wiarze, a jest ich w każdym mieście pokaźna liczba, zyskują znów trochę niebezpieczną, ale przyjemną rozrywkę.

Wesoły kącik.

INNE CZASY.

— Co to byli krzyżowcy? — pyta chłopiec nau-czyciela.

— Ludzie, którzy się bili dla odzyskania Krzy-ża świętego.

— A czy są dzisiaj tacy rycerze?

— Są, widzisz różni, ale najwięcej takich, co każą bić się drugim, aby krzyż zasługi dla siebie otrzymać.

PRZYTOMNOŚĆ UMYSŁU.

Złodziej, myszkując w nocy na strychu, wpadł dymnikiem do izby.

— Gospodarzu, może potrzebujecie parobka? za-pytał rezolutnie.

— Nie, odparł gospodarz zdumiony tem naj-ściem.

— No, to bywajcie zdrowi — odparł najspokoj-niej i umknął przez drzwi otwarte, zanim spostrze-żono jego podstęp i ucieczkę.

Chora, widząc, że doktor traci nadzieję ulecze-nia jej, woła w rozpacz:

„Doktorze! ratuj mnie, życie oddam, byleś mnie pan od śmierci uratował“.

„Przyjacielskie Serduszko“.

P Y T A N I E.

— Tak, synku, musisz uczyć się po łacinie; wszystkie dzieci w twoim wieku powinny znać obce języki.

— A, proszę ojca, czy małym łacinnikom każą również męczyć się nad francuzkim językiem?

DOBRY SPOSÓB.

— Bój się Boga, człowieku! Jedziesz w lipcu do Włoch? Tam 40 stopni gorąca w cieniu.

— A czyż ja w cieniu koniecznie chodzić po-trzebuję?

Szarady i łamigłówki.

Łamigłówka.

Ułożyła *Cyganka*.

1. Miejscowość znajdująca się o dwie mile od War-szawy.
2. Odzież naodwrot.
3. Miasto nad górnym Dnieprem.
4. Część nabiału.
5. Część głowy.
6. Gryzony.
7. Miejscowość pod Warszawą.
8. Przyływ rzeki Niemnu.
9. Imię męskie.
10. Owoc.
11. Imię żeńskie.
12. Część świata.
13. Miasto na Wołyniu.
14. Rzeka wpadająca do morza Azowskiego.
15. Ptak na Południu.

Ułożyć 15 wyrazów którychby pierwsze litery utworzyły imię i nazwisko poety polskiego.

Rozwiązanie łamigłówki jednosylabowej zam. № 37.

1. Buk
2. Ob
3. Len
4. Erz
5. Sem
6. Łuk
7. Ach
8. War
9. Pas
10. Rok
11. Ulm
12. Ser.

BOLESŁAW PRUS

Rozwiązanie zagadki zamieszczonej w № 37.

RAK—ŻAK—MAK—LAK.

Dobre rozwiązania nadesłali: Marylka Jankowska z Worobina i P. Bahan z Wiejsej, gub. Suw.

Lilijka Polska pragnie korespondować z „Przy-jacielskim Serduszkim“ i „Laszką“.

Adres: Kamieniec Podolski, ul. Krestowa, dom Buckiewicza, W-na Anna Chmielowska dla „Lilijki Polskiej“.

Sąchocka, Krucza 10—3, telefon 234=28, w Warszawie.

Zakład Freblowski.

Gimnastyka, slójd, spacer, śpiew.
Przyjmuje dzieci od lat 3—9.
Konwersacja francuska i niemiecka.

Kursy Pedagogiczno-Freblowski.

Dla: Ochroniarek, Bon. Krój, szycie,
tkactwo, koszykarstwo, guzkarstwo, i in-
troligatorstwo, slójd. Patenty z prawami
(posady). Internat.

Szkoła Artystyczno-rzemieślnicza.

Ttaactwo, koszykarstwo, introligator-
stwo, szczołkarstwo, guzkarstwo, włócz-
ka, krój, szycie, haft, slójd, malarstwo,
rysunki, metaloplastyka, snycerstwo.

PATENTY Z PRAWAMI.



PIERWSZA WARSZAWSKA FABRYKA NIETŁUKĄCYCH SIĘ LALEK JANA WODNIAKOWSKIEGO

w Warszawie, Leszno 100

POLECA WYROBY WŁASNE:

LALKI najpraktyczniejsze skórzane i płó-
cienne.

LALKI ubrane w wielkim wyborze.

LALKI w narodowych kostjumach.

NOWOŚĆ!! KONFEKCJA DLA LALEK W WIELKIM WYBORZE

Części zapasowe oraz farba, guma do reperacji.

LALKI z nietłukącymi się, pięknymi głów-
kami.

LALKI z peruczkami, z prawdziwych wło-
sów, z imitacji lnu.

CENY FABRYCZNE

TANIO

Uwaga! Kantor i sprzedaż detaliczna p. t. „RAJ DZIECIĘCY” Chmielna 26, telefon 217-46.

„RUCH“

pod redakcją

Władysława R. Kozłowskiego

z udziałem najwybitniejszych sił swojskich
i obcych

DWUTYGODNIK,

poświęcony sprawom wychowania fizycz-
nego, normalnego rozwoju ciała i higienie
osobistej z dodatkiem „Książnica Ru-
chu“.

Nader niska przedpłata — rb. 2 kop.
70 rocznie w Warszawie i kop. 70 drożej
na prowincji — umożliwia trzymanie „RU-
CHU“ wszystkim, co się prawdziwie i po-
ważnie interesują sprawą normalnego roz-
woju ciała obecnego i przyszłych pokoleń.

Zeszyt okazowy otrzymać można za na-
desłaniem kop. 15.

Adres redakcji: Wielka 31 m. 8,
telefon 153-45.

Nowe bogato ilustrowane dzieła

Stanisława Bełzy.

1. Obrazy i obrazki Indji

SPIS ROZDZIAŁÓW:

Umarli pastwą sępów. Marzenie w marmurze. W świętem mieście.
Bogowie Indji. W stolicy Maharadży. Miasto umarłe. Plagi Indji. Naj-
wspanialszy grobowiec na świecie. Tam, gdzie przeszła burza. Jak
zemdlała się Anglja? Kasty Indyjskie. Coś nie coś o Hindusach. W gó-
rach Himalajskich. Dwie stolice.

Cena rs. 1 k. 50

2. W Ojczyźnie Faraonów

SPIS ROZDZIAŁÓW:

Charakterystyka Aleksandrji. Do Kairu i w Kairze. Meczety i Pira-
midy. Życie uliczne. Nil. Okolica Kairu. Na Sacharze. Bogowie Egi-
ptu. Świątynie Faraonów. Luksor. Karnak. Assuan. Kulturalna pra-
ca Anglji w Egipcie. Zagrożone pomniki budownictwa. Ogólne wra-
żenie.

Cena rs. 2

Księgarnia Gebethnera i Wolfa.

WAŻNE DLA MŁODZIEŻY!

NA FORTEPIANIE, SKRZYPCACH, CYTRZE,
GITARZE I MANDOLINIE,

uczę gruntownie i tanio.

Złota 26, m. 39.

ROCZNIKI

„WIECZORÓW RODZINNYCH“

Z ROKU 1912

Nabywać można w księgarni „Polaka-Katolika“

Krakowskie-Przedmieście 71.

Bez oprawy 4 rb.

W gustownej oprawie 5 rb

W Lublinie przedpłate na
„Wieczory Rodzinne“

przyjmuje księgarnia Religijna, Królewska № 8.